ERIC-EMMANUEL SCHMITT

CZŁOWIEK, KTÓRY WIDZIAŁ WIĘCEJ

znak literaturnova

Eric-Emmanuel Schmitt

Człowiek, który widział więcej

tłumaczenie
Łukasz Müller

znak litera nova
KRAKÓW 2017

Tytuł oryginału
L'homme qui voyait à travers les visages

Copyright © Editions Albin Michel – Paris 2016

Copyright © for the translation by Łukasz Müller

Projekt okładki
Katarzyna Borkowska
kb-design@o2.pl

Fotografia na okładce
Copyright © Sarolta Ban / Trevillion Images

Opieka redakcyjna
Aleksandra Kamińska
Bogna Rosińska

Adiustacja
Jadwiga Grell

Opracowanie tekstu i przygotowanie do druku
MELES-DESIGN

ISBN 978-83-240-3829-9

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl
Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak
ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Wydanie I, Kraków 2017
Druk: CPI Moravia Books s.r.o.

1

– Śpisz?

Chciałbym odkrzyknąć „nie” głosowi, który się do mnie zwraca, lecz zachowuję milczenie, zaciskając powieki. Wymówienie choćby jednego słowa wyrwałoby mnie z zachwycającego snu.

Na zalanej światłem polanie siwobrody starzec wręczył mi przed chwilą irysa, a teraz wskazuje palcem konia. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu wskakuję na kasztanowaty grzbiet rumaka – nie wiedziałem, że umiem jeździć na oklep, ba, nie wiedziałem, że w ogóle umiem jeździć konno – i obiecuję starcowi wypełnić misję, którą mi powierzył. Uśmiecha się, a jego wąskie usta rozchylają się, uwalniając śpiew ptaków. Świeci słońce.

– On śpi?

Czekam kilka sekund. Jeśli cisza potrwa jeszcze chwilę, wyruszę wypełnić zadanie i dotrę do zamku. Siedzę wyprężony z wodzami w dłoni, mając świadomość, iż jestem zawieszony między dwoma światami, jednym konkretnym, w którym moje łydki ściskają ciepłą pierś kasztanka, i drugim abstrakcyjnym, w którym ledwie odważyłem się zamknąć oczy i nasłuchuję jednym uchem. Stojący przede mną druid przechyla głowę na bok, rozczarowany, że nie ruszam w drogę. Och, jakże przeszkadza mi ten głos, głos, który mnie

paraliżuje, głos, który, jeśli będzie nalegał, katapultuje mnie w inne miejsce!

Na szczęście cisza się przedłuża... Ponownie zanurzam się w świecie, w którym mój rumak galopuje przez las. Uwielbiam jego prędkość, lekkość, wdzięk, z jakim przesadza kałuże, okrąża przeszkody, pochyla się, żeby uniknąć gałęzi. Jego kopyta już nie dotykają ziemi.

– Śpisz, kochanie? – szepcze głos, przybierając nagle łagodny ton.

Czuję pobudzający dreszcz. Wydaje mi się, że rozpoznaję tembr tego głosu. Na niebie, ponad wierzchołkami drzew ukazuje mi się twarz matki, ogromna, delikatna, rozpromieniona, życzliwa. Dodaje mi odwagi. Zachęca mnie, żebym przyśpieszył. Co za radość... Wciąż galopując, czuję się szczęśliwy dzięki jej obecności.

– Wstawaj, idioto!

Kuksaniec w ramię. Chwieję się. Tracę równowagę.

W pierwszym świecie spadam z konia. W drugim zsuwam się z krzesła.

Siedzę na ziemi oszołomiony, zdrętwiały, z niesmakiem w ustach i obolałym tyłkiem.

Otwierają mi się oczy. Żegnaj, leśny trakcie, żegnaj, rumaku! Rozglądam się dokoła i ponownie widzę ciasny pokój biurowy, który przydzielono mi w redakcji „Demain", dziennika ukazującego się w Charleroi. Matka zniknęła – nic dziwnego, zmarła przy moich narodzinach – a jej miejsce zajęła rumiana gęba Philiberta Pégarda. Gruby, zwalisty, poczerwieniały na twarzy dyrektor, nadymając się ze złości niczym rozwścieczony byk, przygląda mi się z pogardą, a jego oczy obracają się to w górę, to w dół, choć właściwie mnie nie widzą.

– Augustinie, nie płacimy ci za spanie!

Wstając, wyobrażam sobie, jak mu odpowiadam, że moja praca stażysty w gazecie nie jest w ogóle opłacana, ale nieśmiałość nie pozwala mi na tę ripostę, a dotkliwy ból przeszywa mi kość ogonową. Masuję sobie zadek.

– Proszę mi wybaczyć, panie Pégard.

W sąsiednich pomieszczeniach rozlegają się śmiechy.

Wzdychając z niesmakiem, szef odwraca wzrok, podobnie jak koledzy, których ubawiła ta scena. Brzydzę się nimi.

Czując na sobie ich złośliwe spojrzenia, znów przewracam krzesło, gdy próbuję na nim usiąść.

– Och, przepraszam, przepraszam...

Wybąkałem przeprosiny do krzesła, tylko pogarszając swoją sytuację.

Wyglądam żałośnie, wiem o tym... Jestem raczej tyczkowaty niż wysoki, bo nie dysponuję ciałem, lecz łodygą, łodygą, która ugina się pod ciężarem głowy. Mam zgięty kark i skrzywioną szyję, toteż moja sylwetka przypomina wieszak na płaszcze. Nawet gdy się wyprostuję, nadal się garbię. U mnie chudość oznacza cherlawość: kiedy odsłaniam ramiona, pokazuję tylko ścięgna, żadnych mięśni. Na basenie – a jest to miejsce, gdzie przeżywam katusze, więc go unikam – demonstruję wklęsłości tam, gdzie normalni osobnicy mają wypukłości, na klatce piersiowej i pośladkach. Zdejmując skarpetki, prezentuję pozbawione ciała stopy, w których można się doliczyć wszystkich dwudziestu sześciu kości. Gdy zaś rozbiorę się do naga... mam tylko jeden kolor, beż – beżową skórę, beżowe kudły, beżowe tęczówki – zatem na tle piasku staję się przezroczysty. Bezbarwność gwarantowana!

Choć poświęcałem na to raczej niewiele czasu, szukałem niekiedy w lustrze czegoś, co mogło się we mnie

podobać, lecz zawsze coś mi przerywało te badania, zanim cokolwiek z nich wyniknęło.

Według pracownicy pomocy społecznej, z którą kazano mi się spotkać, nie lubię siebie. Nieprawda... Ja byłbym skłonny się polubić, to inni czują do mnie odrazę! Mojej pospolitości brak jest dyskrecji, wprawiam w zakłopotanie, irytuję, oburzam. Moja bezbarwność wywołuje złośliwe uwagi. Mimo że pragnąłbym być niewidzialny, przemykając się pod ścianami, ludzie mnie dostrzegają. Przyglądają mi się uważnie, a potem, z nieżyczliwym grymasem na twarzy, spluwają lub rzucają obelgi. „Paskudna gęba", jak to ujął pewien nauczyciel, gdy miałem szesnaście lat. W wieku dwudziestu pięciu potwierdzam niezmienną trafność jego definicji.

Z jakiegoś powodu, którego nie jestem w stanie pojąć, ludzie uważają, że jestem winny własnej anatomii, zarzucają mi, że epatuję swym nieprzyjemnym wyglądem. Wciąż jestem ofiarą, którą się oskarża, i nigdy nie wzbudzam najmniejszego współczucia. Może byłoby lepiej, gdyby szpeciło mnie prawdziwe kalectwo? Ślepy, sparaliżowany, jednoręki, mógłbym ewentualnie budzić szacunek... Od czasu do czasu podejrzewam, że inni domyślają się także mojego tchórzostwa...

– A więc, co nam proponujesz, Augustinie? Młody praktykant zżerany ambicją to ktoś pełen pomysłów, prawda? Mam nadzieję, że nie traktujesz swojego pobytu tutaj jako okazji do spania w cieple, choć to już trzeci raz, kiedy przyłapuję cię na gorącym uczynku.

Przemawiając tubalnym głosem, Philibert Pégard stosuje ton groźby, przekonany, że nie zareaguję. Dostrzegam pułapkę, którą na mnie zastawia. Czy w nią wpadnę? To by go ucieszyło.

Milczę, więc zaczyna się bawić moim kosztem. W rzeczywistości, choć jest rozczarowany mną, zachwyca się sobą.

– Myślałem o rozmowach...

Wzdryga się, zdumiony, że wydukałem kilka słów.

– Słucham?

– Moglibyśmy przeprowadzić wywiady z miejscowymi osobistościami, zapytać je o zdanie na temat sytuacji na świecie, kryzysu, niepewności, pro...

– My?

– Gazeta.

– Ty?

– Czemu nie?

Pobladłem, świadomy swojego zuchwalstwa. Dyrektor zwraca się do dziennikarzy:

– Drżyjcie o swoje posady, przyjaciele: nasz patykowaty stażysta zamierza zasięgnąć opinii wielkich tego świata. Wkrótce nie tylko będziecie harować w dzienniku o zasięgu międzynarodowym, niemającym nic wspólnego z obecnym brukowcem, który pozwala wam płacić rachunki za gaz, lecz także możecie wylądować na bezrobociu, bo pan Augustin Trolliet zajmie wasze miejsce.

Do nikogo nie zwraca się per pan, chyba że wtedy, gdy chce zmiażdżyć swego rozmówcę.

– A z kimże Wasza Zarozumiałość przeprowadzi wywiad? No, pokaż swój notes z adresami, żebyśmy i my skorzystali z twojej siatki kontaktów! Z kim? Z papieżem? Z królem Księżyca? A może wskrzesiłeś de Gaulle'a, Gandhiego albo Czyngis-chana? Ty nigdy nie rozmawiałeś z nikim ważnym, nędzny robaku!

Mierzy mnie wzrokiem, marszcząc czoło.

Otwieram usta, żeby się odciąć, ale moje wargi nie wydają żadnego dźwięku. Zastygam bojaźliwie w bezruchu. Bezlitosna szyba z naprzeciwka posyła mi odbicie, w którym dostrzegam swoją gapowatą postawę. Kłótnie zawsze kończą się w ten sposób – gdy dosięga mnie zniewaga, nabieram powietrza, wstrzymuję oddech, cofam język... i riposta nie nadchodzi. Pod względem fizycznym wszystko jest w porządku, lecz umysł reaguje z opóźnieniem. Choć mam łuk, brakuje mi strzały.

Szef warczy, kipiąc ze złości:

– No dalej, zmiataj na ulicę!

Koledzy przestają się nam przyglądać, wpatrując się a to w swój ekran, a to w swój artykuł, a to w swoje dokumenty. Już przeżyli upokorzenie związane z pracą na ulicy i boją się, żeby rozkaz Pégarda nie trafił w nich rykoszetem.

– Na ulicy jestem do niczego, proszę pana.

– Ty wszędzie jesteś do niczego. Wynocha do miasta! Przynieś nam to, co wyłowisz z rynsztoka. Zbierać śmieci chyba potrafisz, co?

Posłuszeństwo. Szybko wypełnić rozkaz, zanim wymyśli bardziej wyrafinowaną zemstę. Chwytając płaszcz nieprzemakalny, czapkę i wełniane rękawiczki, mam jednak ochotę wyjaśnić mu, dlaczego ciepło mnie oszołomiło, dlaczego się zdrzemnąłem, dlaczego w tych ostatnich dniach...

Ale Pégard już wyszedł.

Sterczę pośrodku wyświechtanego dywanu, przedstawiając żałosny widok. Od ścian odbija się echem jedynie gorliwa cisza.

Moi koledzy, gdy mijam ich biurka, opuszczają głowy, przyciskają łokcie do boków, kurczą się. Chronią się

przede mną, jakbym roznosił jakiś niebezpieczny wirus. Wirus pecha na przykład...

Znikam w korytarzu, zbaczam w stronę toalet, z trudem wyciskam z pęcherza kilka zbyt ciemnych kropel, a potem zatrzymuję się przy aneksie kuchennym. Waham się. Serce bije mi jak szalone. Nikogo w pobliżu? Może poniewiera się tu coś do jedzenia, tabliczka czekolady, herbatnik, przylepka, cukierek... Od kiedy nie miałem niczego w ustach? Przebiegam wzrokiem regał i zlew: pusto. Ostrożnie uchylam drzwiczki lodówki, która kryje w sobie napoczętą puszkę piwa. Czemu nie? Piwo ma więcej kalorii niż woda. Chociaż w moim stanie przełknięcie najmniejszej kropli alkoholu grozi, że...

Na puszce zaciska się wielka upierścieniona dłoń. Sprzątaczka odzyskuje swoją własność i unosi ją do szerokich ust, które przecinają pozbawioną szyi głowę przymocowaną wprost do tułowia. Nawet nie mrugnąwszy grubymi powiekami pokrytymi rozmazanym tłustym niebieskim cieniem, kobieta pochłania płyn jednym haustem, mlaska, ociera wargi, wzdycha z zadowoleniem i czka...

Po tym skurczu wlepia we mnie oczy alkoholiczki, chyba dostrzega mnie gdzieś w oddali – chociaż tkwię pięćdziesiąt centymetrów od niej – uśmiecha się niewyraźnie, a potem odchodzi niepewnym krokiem w przydeptanych kapciach i skręconych pończochach, bierze swoje akcesoria i zmywa podłogę. Widząc, jak przytrzymuje się trzonka, mam wrażenie, że mop został wymyślony nie do sprzątania, lecz po to, żeby się nie chwiała.

Przekonany, że już o mnie zapomniała, wyjmuję puszkę z kosza na śmieci, do którego ją wrzuciła, i wychłeptuję to, co zostało w środku. Gorzkawy smak chmielu regeneruje

mój wyschnięty język, a przez gardło przepływa fala rozkoszy, potężna niczym przybój oceaniczny, odwrotnie proporcjonalna do maleńkich kropelek, które ją wywołały. Ach, gdybym odkrył, gdzie ta cholerna Umm Kulsum ukrywa swoje zapasy...

Wpatruję się w pracownicę „Demain". Często, gdy się na kimś koncentruję, zgłębiam jego sekrety. Na ogół unikam takich doświadczeń, bo poznałem zbyt wiele okropności, których łatwo mógłbym sobie oszczędzić, lecz dziś jestem tak głodny, że już się nie waham. Mój wzrok świdruje jej tłusty kark.

– Gdzie chowasz swoje zapasy piwa? – powtarza mój mózg, poddając ją analizie.

Umm Kulsum stawia mi opór.

Nie udaje mi się uzyskać żadnej informacji. Jej zwaliste ciało, równie szerokie jak wysokie, spowite w trykotową sukienkę w lilie wodne, stanowi zwartą nieprzeniknioną bryłę. Alkohol, którym jest napompowana, trzyma mnie na dystans – zresztą niebezpiecznie jest zbliżać się do pełnej kadzi.

Nie daję za wygraną.

Umm Kulsum opiera brodę na trzonku, zamyka oczy, przestaje przecierać podłogę i wykonuje nieznaczne ruchy biodrem w lewo. Widocznie śni, że tańczy. Dokoła niej dostrzegam jedynie muzykę, pociągnięcia smyczków, szarpanie cytr, stłumione instrumenty perkusyjne i kilka tajemnych słów: *Hajart albi ma'ak, Fat al-ma'ad*... Niewątpliwie śpiewa w duchu, a ta melodeklamacja chroni jej sekrety i zmienia ją w niedostępną twierdzę.

Umm Kulsum ma nade mną przewagę. Zresztą ma przewagę nad wszystkimi członkami tutejszego personelu, mimo że znajduje się na samym dole hierarchii

służbowej. Chociaż sprząta kiepsko i z roztargnieniem odbiera telefony – a to jej dwa jedyne obowiązki – Pégard nigdy nie robi jej wymówek. Przyznaje, że kobieta lekceważy kurz w kątach, że zapomina opróżniać kosze na śmieci, że nie stosuje się do jego standardów i nie dziękuje dostawcom, a jednak milczy.

Gdy miesiąc temu zacząłem pracować w redakcji, szybko zapytałem kolegów: dlaczego Umm Kulsum ma przywilej unikania tyranii szefa?

„Nie mamy pojęcia. Jeśli sama ci to wyjaśni, czym prędzej daj nam znać".

Dzisiaj w identyczny sposób odpowiedziałem nowicjuszowi, który mnie o to zapytał.

Umm Kulsum pozostaje tajemnicą, tajemnicą rozjaśnianą przez nieliczne elementy, które czynią ją jeszcze bardziej nieprzeniknioną. Urodziła się jako chłopiec i nazywała się początkowo Robert Peeters. Pewnego ranka, w wieku czterdziestu lat, Robert Peeters, grając w warcaby w bistro w Châtelineau przy radiu nadającym na cały regulator piosenkę *Ozkorini – Wspomnij o mnie* – zrozumiał nagle, że w poprzednim życiu był kobietą, i to nie byle jaką, lecz Umm Kulsum, niezrównaną arabską śpiewaczką, Gwiazdą Wschodu, Słowikiem Kairu, Nieśmiertelną, tą, którą nazywano „czwartą piramidą"! Poruszony tym odkryciem, zmienił się z dnia na dzień, zaczął nosić buty na obcasie i sukienki, owijać głowę turbanem, a potem nawrócił się na islam i porzucił swój zawód bednarza na rzecz bardziej kobiecej profesji. Nikt nie wie, czy poddał się operacji, i nikt nie ma ochoty tego sprawdzić, bo oprócz tupetu, ubiorów, spektakularnej fryzury i takiegoż makijażu Umm Kulsum nie ma w sobie nic kobiecego: masywną sylwetkę kierowcy

ciężarówki, owłosione ramiona, siny zarost, który pod koniec dnia przebija się przez ogorzałą skórę na twarzy, kałdun alkoholika i głos żandarma. Lafouine, rudzielec, który zajmuje się u nas sportem, zapewnia, że zachowała swoje męskie atrybuty i że nie wstrzykuje sobie hormonów.

Umm Kulsum rządzi w redakcji „Demain". Siedząc niczym na tronie za wysokim mahoniowym kontuarem, obserwuje zamglonym, lecz władczym wzrokiem każdego, kto wchodzi lub wychodzi. Ktoś, kto znajdzie się w pobliżu niej, czuje się w obowiązku ją pozdrowić – wręcz się ukłonić – lecz jest to hołd, na który ona nigdy nie reaguje. Prosząc ją o cokolwiek, okazujemy respekt, a nawet odrobinę służalczości. Zresztą dla niej owo cokolwiek natychmiast przestaje być częścią jej obowiązków, stając się łaską, którą okazuje lub nie. Gdy dzwoni telefon, przygląda mu się z dezaprobatą i odczekuje piętnaście dzwonków, zanim odbierze, bo chce się upewnić, że intruzowi rzeczywiście zależy na połączeniu. Nic nie zbija Umm Kulsum z tropu. Ludzie, którzy słyszą ją w słuchawce, zwracają się do niej per „pan", gdy tylko rozlegnie się jej głos, więc poprawia ich niezmiennie – „pani!" – z niezachwianym spokojem. Pewnego dnia Lafouine zagadnął ją złośliwie:

„To musi być zniechęcające, wyjaśniać każdemu, że jest pani kobietą, co?"

„Podobnie było w moim poprzednim życiu".

Dokąd ona się udaje po pracy? Z kim mieszka?

Kierując się do wyjścia, ocieram się o nią pośrodku wąskiego korytarza. Wzdryga się, czując moje dotknięcie, zaskoczona, że jakiś śmiertelnik wkrada się w jej senne marzenia. Mierzy mnie wzrokiem, sztywniejąc, i po raz

setny próbuje sobie przypomnieć, kim jestem, lecz daje za wygraną i rozpościera szmatę na linoleum.

Tuż przed przedsionkiem przechodzę obok gabinetu szefa, który zapomniał zamknąć drzwi. Zwalniam: ciekawe, czym on się zajmuje, gdy na nas nie wrzeszczy?

Z jednym pośladkiem na swoim biurku pan Philibert Pégard kopci hawanę, wpatrując się w ulicę obramowaną zasłonami z ciemnego aksamitu. Wydaje mu się, że jest sam na świecie. Zamiast gromić podwładnych, medytuje. Dym unosi się spokojnie z brunatnego cygara zakończonego pierścieniem siwego popiołu. Pégard nie przyśpiesza spalania, nie wkłada cygara do ust, pozwala, żeby zużywało się powoli, chce, żeby zachowało się jak najdłużej w stanie nienaruszonym.

Wbrew sobie przystaję przed tym niecodziennym obrazem.

Przyglądając się uważniej, zdaję sobie sprawę, że Pégard nie jest zwrócony w stronę okna, lecz w stronę małej dziewczynki, która majaczy w półmroku, siedmioletniej dziewczynki z jasnymi warkoczykami, w sukience w szkocką kratę. Uśmiecha się do niej, a ona robi do niego zalotne miny.

Kim ona jest? Przecież do redakcji nie wpuszcza się dzieci...

Smarkula odkrywa moją obecność i macha do mnie wesoło.

Reaguję spontanicznie:

– Dzień dobry.

Dziewczynka, speszona, unosi obie ręce do buzi, jakbym popełnił jakieś wielkie głupstwo, a potem chroni się za torsem Pégarda. Ten zaś odwraca się w moją stronę.

– Co cię ugryzło? Dlaczego mówisz mi dzień dobry?

– Och, nie panu, tej dziewczynce.

Pokazuję palcem stojącą za nim dziewczynkę, choć teraz już jej nie widzę.

– Jakiej znów dziewczynce? – docieka Pégard.

– Małej dziewczynce, która siedziała obok pana, a teraz się chowa.

Gdzie ona jest? Na próżno przechylam się to w prawo, to w lewo, robię krok do przodu, wchodząc do gabinetu, żeby dojrzeć miejsce, w którym się ukrywa. Umknęła. Nie do wiary! Nigdzie nie mogę jej znaleźć. Padam nagle na kolana i na czworakach szukam po drugiej stronie biurka, pod fotelem, rozsuwam zasłony.

– Augustinie, odbiło ci?

Nie sposób się zorientować, dokąd i jak się ulotniła.

– Była tutaj mała dziewczynka! Siedmioletnia, z jasnymi warkoczykami, w sukience w szkocką kratę!

Pégard robi się purpurowy na twarzy, oczy mu przygasają, ręce się trzęsą.

– Żartujesz? – szepcze.

– Wcale nie. Nie potrafię zrozumieć, w jaki sposób zniknęła.

– W jaki sposób zniknęła?

Gdy podchodzę, żeby zdemaskować tę magiczną sztuczkę, Pégard mnie zatrzymuje, chwytając za kołnierz. Boję się. Szef zmienia się w chodzącą wściekłość. Wpadam w panikę. Czuję, że mnie udusi.

– Jak śmiesz?

Jest tak wzburzony, że z trudem mówi:

– Jak śmiesz!

Skandując to zdanie, unosi mnie, wlecze do drzwi gabinetu i wyrzuca na korytarz.

– Zapłacisz mi za to! Drogo mi za to zapłacisz...

Wydaje mi się, że dostrzegam łzy na krawędzi jego powiek. Odwraca się na pięcie i zatrzaskuje drzwi, zostawiając mnie na podłodze.

Klucz obraca się w zamku. Kroki Pégarda oddalają się w stronę okna, w głąb pomieszczenia.

Zapada cisza.

Nie zrozumiałem nic z tego, co się właśnie wydarzyło: obecność dziewczynki, jej nagłe zniknięcie, reakcja Pégarda...

Wstając, usiłuję doprowadzić nieco do porządku ubranie. Zza drzwi dochodzi pociąganie nosem, płacz. Przykładam do nich ucho.

Czyżby dziewczynka wróciła?

Odgłosy stają się wyraźniejsze. Ciężki oddech, czkawka wydobywająca się z szerokiej klatki piersiowej, jęki mężczyzny: to płacze Pégard, nie nieznajome dziecko.

Jeśli mnie tu zastanie i zorientuje się, że byłem świadkiem jego słabości, zabije mnie na miejscu: zmykam.

Na zewnątrz wilgoć bulwaru Audenta zarzuca mi zimne prześcieradło na policzki. Mimo że nie padało, bruk jest pokryty czymś w rodzaju werniksu.

Na ławce pijak ziewa z nudów. Kilka gospodyń domowych kończy robić zakupy. W bramie kamienicy dwóch zakapturzonych nastolatków pali bez zaciągania się dymem. O jedenastej przed południem przechodnie należą do rzadkości. Tylko jakiś pies się przeciąga. „Na ulicę!”, wykrzyknął Pégard, jakbym miał tu zastać ożywiony tłum szemrzący pragnieniami, ekscytacją, ambicjami, tłum, w którym mieszają się ze sobą tysiące osób żyjących na pełnych obrotach, gwar dostarczający

niekończących się bogactw, i miałbym z niego wydobyć perły godne figurowania na łamach gazety. Rzecz w tym, że Charleroi to nie Paryż, nie Londyn ani Nowy Jork. To miasto częściej śpi niż czuwa. Mruży oczy w porze obiadu, na krótko wykazuje oznaki aktywności późnym popołudniem, w godzinach szczytu, chociaż pozlepiane ze sobą samochody kojarzą się raczej z postojem niż ze zniecierpliwieniem. Bezruch już dawno zadomowił się w Charleroi, podobnie jak białawe obłoki i powolny deszcz.

Rozglądam się dookoła. Ponury gołąb podrywa się do lotu.

Jakie informacje zdołam zebrać?

Powinienem wejść do jakiegoś bistro, oprzeć się o bar i popijać z kieliszka, słuchając plotek sączących się z ust właściciela lub klientów. Tyle że taka operacja wymagałaby ode mnie poświęcenia kilku euro, a tymczasem moje kieszenie zieją pustką. I nie tylko kieszenie, także żołądek.

Chodnik kończy się niepostrzeżenie i przez nieuwagę skręcam sobie kostkę.

Przewracam się.

Ach, gdybym mógł stracić przytomność! Zostać ocucony przez strażaków, zabrany na pogotowie, gdzie nakarmiono by mnie kanapką, zupą, kompotem...

Masuję sobie nogę. Nic z tego. Tylko trochę boli. A ból przejdzie. Szybciej niż głód. Podnoszę się. Przede mną, w odległości dwudziestu metrów elegancka kobieta wyjmuje z koszyka jabłko, nadgryza je. Dzwoni jej telefon. Odkłada owoc na brzeg ławki, żeby odebrać.

Skorzystać z jej nieuwagi i ukraść jabłko?

– Augustinie, powstrzymaj się.

Moje sumienie woli głód od wstydu.

– Szukaj informacji. Wróć do redakcji z newsami, bo w przeciwnym razie...

Niegodziwa część mnie ma ochotę sprzeciwić się sumieniu:

– Bo w przeciwnym razie co? Nie jestem wynagradzany ani szanowany. Ten staż do niczego się nie przydaje. Lepiej bym zrobił, żebrząc.

Wzruszam ramionami i idę dalej bulwarem. Biją dzwony. Przy placu Karola II odbywa się nabożeństwo.

Moje kroki kierują się w tamtą stronę, bo po drodze jest fast food. Oczywiście nie wejdę do środka, ale – nigdy nie wiadomo – ktoś wychodzący mógłby wyrzucić do kosza frytki albo połówkę hamburgera. Żywiłem się w ten sposób wczoraj. Jedzenie z odzysku nie budzi we mnie wstrętu.

Potrąca mnie jakiś mężczyzna.

Omal się nie przewróciłem, ale on nawet tego nie zauważył.

Rezygnując z domagania się przeprosin – nie umiem się bić – opieram się o fasadę kamienicy i rozcieram ramię.

Rozgorączkowany mężczyzna przechodzi niespodziewanie przez ulicę. Lepiej go teraz widzę: dwadzieścia lat, obszerna kurtka z kapturem mimo wątłej sylwetki, ciemna czupryna wystająca spod czapki, gęsta, lecz przycięta broda, posępne, nieco rozszerzone oczy. Rzuca niespokojne spojrzenia, a jego głowa bez przerwy obraca się to w prawo, to w lewo.

Intryguje mnie.

Co jest za nim, tuż przy jego ramieniu?

Zatrzymuje się, dotyka zegarka. Wyraźniej widzę ptaka, który trzepocze skrzydłami dookoła niego.

Co to jest? Kruk? Kos?

Wytężam wzrok.

Jakieś pierzaste stworzenie?

Tracę zmysły... Czyżby wyobraźnia płatała mi figle? Zamiast zwierzęcia widzę miniaturowego człowieka, ludzką postać w antracytowej dżalabii, wściekle wymachującą rękami. Przełykam ślinę i przyciskam dłonie do tynku, o który się opieram, próbując w ten sposób sprawdzić, czy naprawdę znajduję się w realnym świecie.

Naprzeciwko mnie młodzieniec ociera sobie czoło, drży, waha się, a potem postanawia zawrócić. Człowieczek na jego ramieniu zaczyna tupać, krzywić się, wrzeszczeć. Nie docierają do mnie słowa, lecz rozumiem, że to maleńkie stworzenie beszta młodzieńca.

Młody człowiek wypręża się, nieruchomieje. Słucha, co mówi mu stworzenie w dżalabii, zamyka oczy, oddycha głęboko. A teraz kiwa głową, wyraża zgodę. Po upływie minuty uspokaja się, spokój wręcz go przepełnia. Stworzenie, czując, że stawia na swoim, zachowuje się coraz mniej gwałtownie, poprawnie artykułuje słowa, z każdą chwilą pewniejsze swojej przewagi.

Podniesiony na duchu młodzieniec uśmiecha się i szepcze mu coś na ucho. Wszystko się ułożyło. Dochodzą do porozumienia.

Dzwony przestają bić.

Młody człowiek spogląda na zegarek i nabiera haust powietrza. Jest zdecydowany. Znów rusza przed siebie pierwotną trasą, stawiając wielkie kroki. Skręca.

Śledzę go. Oczywiście nie zdobędę w ten sposób żadnych nowin, ale intryguje mnie to stworzenie, które mu towarzyszy, szybując w powietrzu niczym latawiec na spokojnym niebie. Młodzieniec wychodzi na sześciokątny

plac Karola II. Pod kruchtą kościoła Świętego Krzysztofa pogrążone w żałobie rodziny tworzą grupki, wychodząc z nabożeństwa. Pojawia się trumna.

Młodzieniec idzie dalej swoją drogą i posuwa się wzdłuż schodów, na których tłum nieruchomieje.

Ja też wkraczam na plac, gdy pewien szczegół przykuwa mój wzrok: po mojej lewej stronie, na górze kosza na śmieci leży pojemnik z frytkami. Chyba są jeszcze ciepłe. Ktoś położył je tam zaledwie przed chwilą.

Nie potrafiąc się oprzeć, porzucam śledzenie młodego człowieka, nabieram je pełnymi garściami i wpycham sobie do ust. Nie śmiem wierzyć, że za kilka minut już nie będę głodny. Zęby miażdżą mączną miazgę. Odżywam. A raczej odżyję za moment.

Swoją drogą, gdzie jest mój młodzieniec z tym swoim dziwnym latającym stworzeniem?

Odwracam się i dostrzegam go po drugiej stronie fontanny, nie dalej niż metr od pracowników zakładu pogrzebowego, którzy wsuwają trumnę do limuzyny.

A wtedy rozchyla kurtkę, wykrzykuje rozdzierającym głosem jakieś zdanie i wykonuje gwałtowny ruch.

Rozlega się detonacja.

Coś przesłania niebo.

Porywa mnie fala powietrza.

Unoszę się.

Spadam.

O co zapytałbyś Boga, gdybyś mógł z Nim porozmawiać?

Huk, błysk. Chwilę potem gorąca fala powietrza, która podrzuca w niebo nawet najcięższe przedmioty. Augustin niewiele pamięta z momentu wybuchu. Widział sprawcę, to pewne.

Ale kim była postać, która mu towarzyszyła?
Tego Augustin nie jest pewien i nikomu
nie chce o tym mówić.
Od dziecka ukrywa swój dar. Widzi więcej.
Widzi tych, którzy odeszli.

Czy jego niezwykła zdolność pozwoli zapobiec kolejnemu nieszczęściu?

Eric-Emmanuel Schmitt to mistrz filozoficznych przypowieści. Tym razem zastanawia się, jak to możliwe, że w świecie, w którym pragniemy miłości, jest również miejsce na zło. **Jak to się dzieje, że ludzie w imię Boga dopuszczają się najgorszych zbrodni.**

Mały Oskar z ***Oskara i pani Róży*** pisał do Pana Boga listy, dorosły Augustin przeprowadza z Nim wywiad.

Cena 39,90 zł

ISBN 978-83-240-3829-9

9 788324 038299 >

E-book dostępny na woblink.com

znak.com.pl
KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY